Nr. 35 Rok 3 Kraków, dnia 30 sierpnia 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



Dieppe!

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. ⚡⚡ PK.—Roth.

DIE



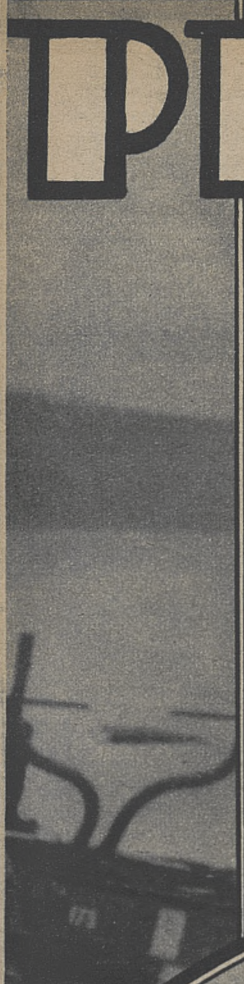
TAK WYGLĄDA PRÓBA INWAZJI
Zabici i ranni żołnierze aliantów, płonące transportowce i okręty specjalne, zniszczone czołgi i wszelkiego rodzaju sprzęt wojenny pokrywają wybrzeże portu Dieppe.

Powyżej:
PILOT NIEMIECKI
który wskutek uszkodzenia samolotu w walce powietrznej musiał lądować, wziął natychmiast po wylądowaniu udział w walce lądowej uzbrojony w granaty ręczne i pistolet maszynowy.

Fot. P. B. Z. 2
ẞ KW. — Roth 6

DRUGA

PPE



Od wielu miesięcy przygotowywana w prasie i propagandzie aliantów inwazja na kontynent europejski doszła do skutku w godzinach rannych dnia 19 sierpnia. Flotylla angielska wyposażona w znaczne siły wojskowe i specjalną broń, usiłowała wylądować na wybrzeżu francuskim w porcie Dieppe. W ciągu kilku godzin przedsięwzięcie to, zakrojone na wielką skalę, załamało się w ogniu obronnym wojsk niemieckich. Inwazja ta okazała się katastrofą olbrzymich rozmiarów — a została podjętą pod wpływem przymusowej sytuacji politycznej i energicznych moskiewskich żądań Stalina, skierowanych do



Na prawo:

DO NIEWOLI

Pełne dramatyzmu zdjęcie, odsłaniające straszne przeżycia wyniszczającej bitwy. Cała groza walki, odbija się na twarzach tych żołnierzy.



W kole:

PIERWSZA POMOC

Ciężko ranny Kanadyjczyk otrzymał pierwszy prowizoryczny opatrunek od sanitariusza niemieckiego i może być już przeniesiony do szpitala.



PO BITWIE

Ranni zostają umieszczeni w autach sanitarnych, jeńcy odprowadzeni, a żołnierze niemieccy zajmują z powrotem swe dawne pozycje.



ATAK ODPARTY

Żołnierze niemieccy pod świeżym wrażeniem ukończonej bitwy na wybrzeżu Dieppe. Polegli i ranni pokrywają rozległe pobojowisko.

Churchilla. Strata 127 samolotów, 3 kontrtorpedowców, dwóch łodzi torpedowych, czterech wypełnionych do ostatniego miejsca transportowców i około 2 000 jeńców Anglików, Kanadyjczyków, Amerykanów i żołnierzy de Gaulla, świadczy o silnym udziale wielkich zespołów samolotów i zbrojnych sił morskich Anglików, równocześnie dowodzi o wielkiej sile obrony wojsk niemieckich znajdujących się w umocnieniach na wybrzeżu.



ODWRÓT ODCIĘTY

Około dwa tysiące żołnierzy angielskich zdąża do niewoli. Przez szybkie odpłynięcie floty angielskiej stracili oni wszelką możliwość ucieczki.

DUNKIERKA

Fot. Steinhoff



Poniżej:

PIĘKNA ZEZA ŚPIEWA

Gdy piękna Zeza śpiewa ludowe piosenki miłosne, panuje taka cisza, że można usłyszeć igłę spadającą na ziemię. Jest ona również najlepszą tancerką, pełną porywającej werwy życiowej i wesołości.



DZIEWCZĘTA NAPRZÓD

Jedna z najpiękniejszych figur tańca ludowego, w której dziewczęta pląsając, idą tanecznym krokiem naprzód i uzupełniają rondo.



W kole:

SPRZĄCZKA SIĘ ZEPSUŁA! ZARAZ NAPRAWIMY!

Zdjęcie migawkowe z drobnej rycerskiej przysługi, chętnie wyświadczonej pięknej Bułgarce.

BUŁGARSKI ZESPÓŁ LUDOWY TAŃCZY DLA ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH

Wojna rzuca żołnierzem jak kulą. A obecna wojna czyni to w większej mierze niż dawniejsza. Z miasta do miasta, z kraju do kraju, z jednej części świata do drugiej. Tak też jest z żołnierzem niemieckim, który w tej wojnie nie zaznaje prawie bezruchu, lecz ciągle posuwa się naprzód, ciągle jest w innym kraju, to nieprzyjacielskim, to znowu w kraju związanym paktem przyjaźni, przymierzem i braterstwem broni. Do tych ostatnich należy też Bułgaria.

Nic tedy dziwnego, że stosunek narodu bułgarskiego do przebywających tam oddziałów armii niemieckiej był od samego początku i jest wybitnie przyjacielski. Żołnierze niemieccy uważani tam są za miłych gości, którymi należy się specjalnie zaopiekować i wobec których spełnienie obowiązków gościnnych gospodarzy jest miłą powinnością.

Ludność bułgarska rozumie doskonale, że walka jest czymś twardym, że wymaga ona ogromnego wysiłku fizycznego i duchowego, napięcia woli i zrozumienia idei, która by żołnierzom przyświecała i zagrzewała do boju. I te właśnie cechy widzi ona w żołnierzu niemieckim, to w nim nade wszystko ceni i szanuje. Stąd też wyrodziła się ta wielka przyjaźń narodu bułgarskiego dla żołnierza niemieckiego.

Kiedy się kogoś darzy sympatią i ceni, chciałoby się okazać mu jakoś ten szacunek, szuka się więc sposobów by go jak najlepiej wyrazić. Tam gdzie gospodarzem gościnnym jest nie pojedyńczy człowiek, lecz cały naród, trzeba ofiarować coś, co jest własnością całego narodu, jest wspólne całemu naro-

Poniżej:

TANECZNE RONDO

Efektowna figura bułgarskiego tańca narodowego, który najbardziej podobał się żołnierzom.



BUŁGARZY TAŃCZĄ

dowi i najlepiej może wyrazić, że przyjaźń dla gości płynie ze serca. Tym najlepszym wyrazem tego serdecznego stosunku może być między innymi i taniec.

Toteż Bułgaria tańczy dla żołnierzy niemieckich. W strojach narodowych i ludowych, odznaczających się zarówno pięknem wzorów jak i barwnością kolorów, przesuwają się przed zachwyconymi oczami żołnierza niemieckiego, smukłe, czarnobrewe i smagłe tancerki i dorodni tancerze bułgarscy odsłaniając w pełnych ognia i życia tańcach bujność swego temperamentu narodowego.

Bułgaria jest przede wszystkim krajem rolniczym, krajem ludu, związanego silnie z ziemią, ogrzewaną już cieplejszym słońcem niż nasza. Więc też i dusza tego narodu jest gorętsza. A że temperament narodowy objawia się najlepiej w tańcu, jest taniec bułgarski żywiołowy, pełen radości życia.

Bułgarzy tańczą dla żołnierzy niemieckich nie tylko swoje własne tańce ludowe. Wiele przyjemności sprawia im też pokazanie żołnierzom niemieckim tańców niemieckich, których się od nich nauczyli.

Taniec bułgarski jest bardzo bogaty. Zbiór róż, które Bułgaria w wielkiej ilości hoduje na produkcję olejków różanych, daje okazję do święta róż, gdzie piękny taniec róż stanowi najważniejszy moment, winobranie, owocobranie, żniwa, wesele wszystko to ma swój wyraz w tańcu, barwnością stroju i żywością poruszeń trzymającego widza w napięciu.

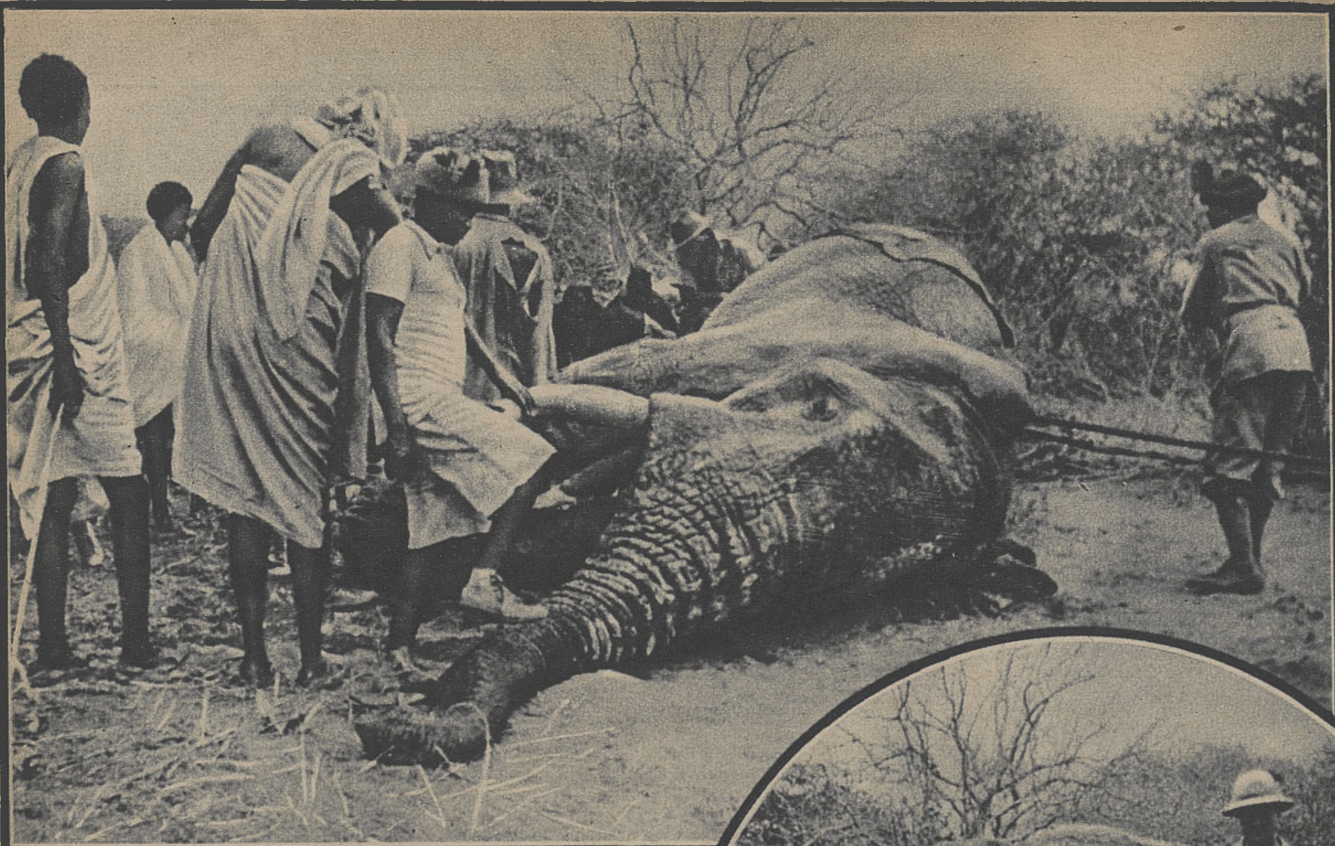
Oczywiście że przyjazny stosunek narodu bułgarskiego nie kończy się tylko na pokazaniu tańca, który tu wyrazić ma otwartość serca, z jaką się Bułgarzy do żołnierza niemieckiego odnoszą. Bułgarzy zawiązują osobiste przyjaźni z żołnierzami niemieckimi, łączy ich bowiem wspólny cel i dawne jeszcze braterstwo broni.

Reportaż nasz pokazuje nam dowody tej przyjaźni narodu bułgarskiego dla żołnierza niemieckiego, objawiając równocześnie całe bogactwo strojów i temperamentu tego narodu, który dzięki swej pracy zajmuje wśród młodych narodów Europy jedno z pierwszych miejsc.



TANIEC BUŁGARSKICH WIEŚNIAKÓW
Najlepsi tancerze i tancerki wykonują pełen werwy i czaru taniec bułgarskich wieśniaków.

POLO



Polowanie na słonie, jako sport pełen emocji podniecca niezwykle żyłkę myśliwską Europejczyka. Nic dziwnego, — wszak już sam teren łowów animuje silnie wyobraźnię. Dżungla lub step, gęste zarośla, zwisające liany, rozległe stepy usiane barwnymi, o odurzającej woni kwiatami, stanowią krainę, w której czują się najlepiej gruboskórne olbrzymy. Widok pasącego się stada słoni na tle bujnej roślinności Afryki czy Azji wywiera na ludzi zwłaszcza widzących je po raz pierwszy, niezapomniane wrażenie. Mimo woli, myśl cofa się o tysiące lat wstecz, a wyobraźnia wysnuwa wizje olbrzymich mamutów zamieszkujących przedpotopowe knieje czy stepy.

Imponująca budowa słonia, jego rozmiary i siła, której przewagę uznają wszystkie inne zwierzęta, czyni z niego prawdziwego władcę. Wszystkie zwierzęta ustępują z drogi i kryją się w leśnej gęstwinie na widok zbliżającego się ku wodzie, spragnionego słonia. Nawet lew nie odważy się go zaatakować. Jedno tylko stworzenie stawia czoło olbrzymowi: mały, niepozorny, słaby fizycznie człowiek. Już pierwotny myśliwy uzbrojony w młot z kamienia i dzidę z drzewa zapragnął złowić słonia. Obserwował on niejednokrotnie jak przez puszczę mroczną i groźną, wśród gęstych zarośli zwisających lian, wił się trop słoni. Niezwykła waga tych zwierząt, ich potężny kadłub, łamał gałęzie i krzaki, korzenie najpotężniejszych drzew wdeptywał w ziemię. Od smacznych żerowisk do zimnej i orzeźwiającej wody dość długa droga. Na drodze tej leśny człowiek wykopał dół głęboki i zakrył go trzciną, gałęziami i liśćmi. Wieczorem stado słoni ruszyło do wodopoju. Na czele doświadczony stary samiec. Przodownik nie przeczuł podstępu, nie wiedział, że na drodze w rowie czaiła się śmierć. Wpadł. Przerażone stado rozbiegło się na wszystkie strony. Człowiek tryumfował. Fortel swój powtarzał częściej. Tradycja przekazała nam ten prastary sposób łowów. Dziś jednak słoń rzadko wpada w pułapkę. Stał się podejrzliwy, nieufny, ostrożny.

Czarny Afrykańczyk o bujnej, kręconej czuprynie coraz bardziej udoskonalał swą broń, coraz lepszą wynajdywał technikę łowów. Uzbrojony w dzidy, miecze, topory, nie lękał się stawić olbrzymowi nawet pieszo czoła. Ataki olbrzyma wymijał czarny człowiek ze zręcznością małpy, starając się zadać słoniowi najbardziej paraliżujące rany. Mijały lata. Zwolna cały czarny ląd opanował biały człowiek, a z nim i jego cywilizacją zawitała do Afryki broń palna. Dziś nawet w głębi dziewiczych puszcz afrykańskich posiadają krajowcy broń palną i polują na sposób Europejczyków, głównie dla zdobycia cennej, dobrze płatnej kości słoniowej, a także i dla mięsa.

Nowoczesne polowanie na słonie odbywa się na specjalnie w tym celu wytresowanych koniach, o ile odbywa się ono na otwartych terenach i stepach, albo też pieszo, gdy odbywa się w zaroślach puszczy lub okolicy nawiedzanej przez muchę tse-tse, gdzie użycie konia jest niemożliwe. Przy polowaniu pieszym musi się myśliwy podkraść pod słonia na odległość możliwie najbliższą np. na jakieś 30 kroków, aby strzał był śmiertelny. Słoń bowiem jest „twardy" i nawet z bardzo ciężką raną potrafi ujść myśliwemu i dopiero po dłuższym czasie gdzieś w puszczy ginie.

Najczulszym miejscem słonia, w które trafiony pada momentalnie trupem, jest przestrzeń wielkości dłoni znajdująca się między uchem a okiem. Tu jedna kula wystarczy do powalenia olbrzyma. Niebezpieczeństwo dla życia myśliwego, polującego pieszo nie jest znowu tak wielkie jakby się mogło wydawać. O ile słoń nie jest ranny, zręczny myśliwy potrafi mu nieraz uciec wprost spod nóg — bo słoń nie biegnie daleko za myśliwym; zadowala się tym, że wróg uciekł, a on sam pozostał panem na placu boju. Niewątpliwie jednak jest to uciążliwy sport i tylko odpowiednio zahartowani mężczyźni mogą się oddawać tego rodzaju polowaniu. Dla Europejczyków bardziej emocjonującym jest polowanie na koniach. Odbywa się ono mniej więcej w ten sposób, że ku pasącemu się na bezbrzeżnym stepie afrykańskim stadku słoni, podjeżdża z oddali na koniach gromada myśli-

Powyżej: **PO SKOŃCZONYCH ŁOWACH** Olbrzym ten waży około 4000 kg. Mięso jego, przypominające swym smakiem wołowinę, będzie stanowić smaczny kąsek dla tubylców.



W kole: **MYŚLIWY OBOK SWEJ ZDOBYCZY** Zwróćmy uwagę na siekacze zwierzęcia zwane niewłaściwie „kłami". Kły te, u niektórych słoni mają długość ponad 2 metry i ważą każdy około 15 kg a nawet i więcej.



ZDEJMOWANIE SKÓRY ZE SŁONIA

Przed przystąpieniem do zdejmowania skóry ze słonia, polewają robotnicy ciało zwierzęcia roztworem soli kuchennej i ałunu, by ochronić skórę przed gniciem.

WANIE
NA SŁONIE



Na prawo:

OCHRONA PRZED SŁOŃCEM

Robotnicy sprawiający słonia, rozciągnęli prowizoryczny dach z płótna, by ochronić się przed palącymi promieniami afrykańskiego słońca.

W kole:

GŁOWA ZABITEGO SŁONIA AFRYKAŃSKIEGO

Jest ona bardziej płaską, a „trąba" cieńszą niż u słonia indyjskiego. Natomiast uszy słoń afrykański ma o wiele większe, niż jego krewniak, słoń indyjski.



wych. Myśliwi rozdzielają się i okrążają słonie. Zaniepokojone słonie gotują się do ucieczki. Jednak jest już za późno. Padają strzały. Kilka słoni śmiertelnie ugodzonych pada. Inne rozbiegają się na wszystkie strony. Rozpoczyna się szalony pościg. Jeden ze słoni ranny i podrażniony bólem podnosi głowę, zwija trąbę, unosi w górę uszy, które wyglądają jak dwa rozpięte żagle. Cała postać zwierzęcia zdaje się rosnąć i potężnieje w oczach. Głośny pomruk przechodzi w groźny ryk, słoń rusza w kierunku swego prześladowcy i szybko sunie naprzód zgniatając zarośla, jakby to były źdźbła słomy. Inni myśliwi nadbiegają na rączych koniach. Słoń ugodzony kilkoma strzałami pada.

Dziki słoń może dożyć 150 do 200 lat, w zoo około 120. Kto widział oswojone słonie, ten musi je polubić i podziwiać ich „dobroduszność" i cierpliwość. Taki słoń widział całe pokolenia mijające.

Czy też on sobie przypomina czasy, kiedy na wolności wędrował ze swym stadem przez wielkie ciemne lasy i zuchwale deptał trzcinę bambusową zagradzającą mu drogę? Czy przysłuchuje się jeszcze wabiącym głosom swych wolnych braci? Być może tęskni wciąż jeszcze za lasem i swobodą, być może spodziewa się jeszcze, że znajdzie się kiedyś wśród wolnych swego plemienia i będzie pozdrawiał słońce wschodzące nad dżunglami. Zdaje się to potwierdzać czasem jego ryk, w którym nie ma złości, lecz jakaś tęsknota do tych olbrzymich obszarów Afryki lub Azji, które kiedyś przemierzał.



Obok:

WIDOK SŁONIA OD TYŁU

Olbrzym ten był wysoki na przeszło 3 metry. Długość zaś jego ciała wynosiła 4 m.



JERZY EGLICZ

KUSZENIE BAFOME

Nad granicami szalał wicher — miotał tumanami zmierzwionych mgieł, huczał w głuchych poświstach — targał zwałami czarnych chmurzysk. Góry omotał mrok i tylko tępy grzmot przewalał się pośród przepaści, wyjąc złowrogo. Rozgadały się nieprzeniknione czeluści prastarych borów, pomrukiem swarliwym a cierpkim, rozłomotały suche gałęzie sterczących na skrajach połonin limb zgrzytliwym, wściekłym trzaskiem. Zaś tam od skalnych turni waliły masy skłębionych oparów niby cielska wężów gigantów o potwornych, wijących się splotach.

Roman Helsztyn zatrzymał się na skraju drożyny — dalsze posuwanie było zupełnie niemożliwe, gdyż wokół niego burzyły się morza ciskanych wichrem mgieł — gęste, ostre jak szpilki lodowe igiełki dżdżu wpijały się w twarz, przenikały ciało. Samotny turysta czuł się zmęczony i znużony. Nadwyrężone ostatecznym wysiłkiem mięśnie, jakby stężały — ciało ogarniała bolesna tępota.

Naraz przez ciemny i zmącony mrok, dojrzał migotliwe błyski, niby światła błędnych ogników. Ostatnim wysiłkiem woli ruszył z miejsca. Teraz dopiero w dali zobaczył majaczące czeluście grot. Po chwili znajdował się już w ich wnętrzu. Spowiła go cisza, — tam nad górami ryczały jeszcze szalone pogwizdy burzy — tu popielata ciemń omotywała wszystko. Rozłożył koc, pociągnął z termosa tęgi łyk herbaty, zapalił papierosa, zwolna począł nabierać sił.

A hen, od skalisk schodziła już noc — zwaliła się ciężkimi otokami cieni, rozplotła czarcie skrzydła po ziemi; zaś na podniebnych zrębach konała zawierucha.

Roman Helsztyn zaświecił latarkę i podążył w głąb. Czeluść zwężała się zwolna, aż przeszła w kuty w granicie wąski krużganek. Dziwne pomruki, szmery, bełkoty jakby płynącego w toniach potoku, obijały się o kamienne stoki. Przeszedł kilkadziesiąt metrów i stanął nad ziejącą przepaścią. Cisza... Czerń... Syk tylko stłumiony dobywa się z odmętów.

Nachylił się chcąc rzucić kamień i w tem poślizgnął się i runął w dół...

— — — — — — — — —

Kiedy rozwarł powieki — przekonał się ze zdumieniem, że spoczywa na miękkim tapczanie w małej obitej szkarłatno-złotawymi brokatami kabinie. Monotonny szum drgał w powietrzu. Helsztynowi wydawało się, że kabina znajduje się w szalonym pędzie.

— Czy ja jeszcze żyję? — szepnął do siebie, wodząc zdziwionymi oczyma po aksamitnych obiciach.

Złowieszczy, harkotliwy śmiech, był mu odpowiedzią.

Obejrzał się. W kącie przy ścianie na której widniały szeregi tastrów i dźwigni, tkwiła wysoka, zgrabna postać o płomieniejących, palących oczach. Orla, świetnie zharmonizowana z artystycznie zaczesaną bujną fryzurą, twarz, nacechowana była kpiącym wyrazem szyderstwa. Wąskie, zacięte usta wykrzywiał jakiś nonszalancki grymas. Nieznajomy obrzucił go drwiącym spojrzeniem i rzekł:

— Owszem, żyje pan, ale czy stan ten długo potrwa — to jeszcze nie wiadomo! — niski, o sarkastycznych intonacjach głos, miał dziwnie niepokojące brzmienie.

W tym momencie Helsztyn oprzytomniał, a ponieważ nie należał do ludzi tchórzliwych — cisnął weń równie zjadliwe spojrzenie i najswobodniejszym w świecie tonem przemówił:

— Najuprzejmiej dziękuję za łaskawe informacje, śmiem jednak zapytać, gdzie ja właściwie się znajduję?

— O! proszę się nie niecierpliwić — może wkrótce nadejdzie czas, że i o tym coś nie coś się pan dowie.

Helsztyn chciał wstać, ale w tej chwili z ust nieznajomego wysunęło się jakieś o niezwykłym odcieniu brzmienia słowo i Roman zwalił się bezwładnie na poduszki. Spróbował jeszcze poruszyć głową, lecz jakaś potężna siła przykuła go w miejscu.

— Dobrze — zaczął mówić i z przerażeniem przekonał się, że głosu swego nie słyszy zupełnie.

— Nie, ja napewno mam halucynację — tak... pamiętam... runąłem wtenczas w przepaść... — zmącone myśli przewalały się po mózgu — naturalnie, musiała zostać nadwyrężona czaszka.

— Świetnie, ale skąd ten szum podobny do warkotu motoru — konkludował dalej — ee! napewno bulgot wody w strumieniu.

— Proszę wstać — rozkaz był krótki, jednakże ostro przejmujący. Drzwi kabiny rozchyliły się i oszołomionym oczom Helsztyna ukazała się krótka szeroka pieczara, której wylot wychodził na gigantyczny plac.

— Ja jednak mam halucynację! — mruknął, przecierając drgające powieki.

Turkusowa intensywna poświata wciskała się wszędzie, mieniła się na zkonstruowanych z nieznanego metalu budowlach — błyskotliwymi refleksami odpryskiwała od perlących się na środku placu kolorowych fontann.

— Teraz mogę panu wyjaśnić — przebywa pan w podziemnym mieście Aroa, siedlisku Szatana.

Helsztyn przyglądał się z zainteresowaniem swej ręce:

— Nie, to chyba jakaś piekielna sugestia lub sen — bełkotał do siebie — podziemne miasto... szatan... tak... ja pewnie jeszcze śpię znużony walką z nawałnicą.

Tymczasem u wrót jaskini zatrzymał się wspaniały, kuty z bronzu pojazd, przypominający wyglądem swym nieduży ślizgowiec.

W milczeniu zajęli miejsca. Poduszki i obicia były wygodne w ciemno różowym tonie, przetykane złotawymi pasmami.

Nieznajomy zasiadł przy kierownicy — przesunął lekko którąś z dźwigni i maszyna cicho ruszyła z miejsca. Wjechali w ulice Aroa. Po obu stronach szerokiej wyłożonej jakby aksamitną fioletową powłoką jezdni, stały ciężkie, spawane z metalowych połyskliwych płyt budowle, z wznoszącymi się tu i ówdzie graniastosłupowymi miedzianymi wieżycami. Wszystko to oblane intensywną turkusową pomroką — czyniło jakieś niesamowite, widmowe wrażenie. Wysoko w górze roztaczał się kopulasty z rżniętej, kryształowej masy strop, buchający kaskadami bladoliliowych strumieni. Jakiś rażący, piekielny blask kłuł oczy. Po zielonych, szklanych chodnikach snuły się odziane w czarne, długie togi postacie, o ziętych w regularny prawie trójkąt twarzach. Popod wspaniałymi łukami brwi płonęły fosforyczne, palące oczy. Tu i tam przesuwały się bezszelestnie ogromne aerodynamiczne ślizgowce.

Zatrzymali się przed zbudowanym w ultra-kubistycznym stylu pałacem, otoczonym ogromnym ogrodem.

— Pan pozwoli za mną — odezwał się wysiadając z dziwacznego wozu nieznajomy. Obecnie udamy się do władczyni Aroa — Bafome.

Zdążali przez niesamowity ogród, gdzie rosły bajeczne, skrzące się brylantowymi lśnieniami kwiaty, o połyskujących, szklistych płatkach. Nad nimi niby paszcze węży-olbrzymów tchnęły zielonawym światłem skłębione cielska drzew, z powlepianymi w nie szkarłatnymi nawisami owoców.

Wstąpili do wnętrza. Ze ścian komnaty zwisały puszyste, krwawo czerwone atłasowe kotary o przewijających się pośród nich, mieniących się czarnych wstęgach. Naszywane na nich arabeski heliotropów błyszczały seledynowo - błękitnymi refleksami. Minęli szereg podobnych pokoi, aż znaleźli się w ogromnej, kutej z platynowych złomów grocie. Wspaniałe niebieskie futrzane dywany pokrywały podłogę. W głębi, w rytej z granatowego bazaltu niszy mieścił się srebrny inkrustowany szafirami tron.

Ciałem Romana wstrząsnął dreszcz. Rubinowy strop słał ognie szkarłatnych płomieni. Z głębi, jakby z podziemi dolatywały zmysłowe tony muzyki.

Nieznajomy niemym ruchem wskazał mu miękki w jakiś nieodgadniony sposób zrobiony z futer fotel.

— Gdy uderzy gong — wtedy proszę wstać! — drwiące cienie przewijały się po jego wąskich wargach.

Podał gościowi milczącym gestem otwarte z czarnej laki pudełko, z leżącymi wewnątrz zielonymi rurkami. Potem dotknął końcem jednej z nich niklowego pasma metalu i natychmiast dobył się z niej fluoryzujący, fiołkowy płomyk.

Helsztyn zaciągnął się pełną piersią — dym miał oszałamiający, aromatyczny smak — w głowie szumiało, myśli plątały się dziwnie.

— Pozwoli pan, — zaczął sennym, powolnym głosem — że zapytam — czy ja jestem właściwie przy zdrowych zmysłach, czy też odwieziono mię do sanatorium dla nerwowo-chorych?

— Bytuje pan w podziemnej krainie Aroa, ponieważ niegdyś tysiące lat temu, czyli w poprzedniej reinkarnacji piastowałeś godność kapłana egipskiego boga zła — Seta. A teraz w obecnym życiu nie służyłeś siłom dobra — swój majątek zdobyłeś dzięki ciemnym machinacjom, przez łzy i ból drugich — masz więc nielada zasługami zapisane karty.

Rozbrzmiał ponury dźwięk gongu.

Powstali... Światło zgasło. Rozwarły się szerokie kute ze złota odrzwia, — w nich pojawił się wspaniały orszak. Na czele szły wolnym, posuwistym krokiem otulone w lśniące brylantowymi wstęgami przejrzyste czarne szaty kobiety o egzotycznych, tchnących zmysłowością twarzach, dzierżąc w rękach płonące tęczowymi ogniami pochodnie. Za nimi dwunastu ogromnych muskularnych Negrów, niosło bogato inkrustowaną perłową masą, rzeźbioną z cedrowego drzewa lektykę. Na szkarłatnych jedwabiach spoczywała wygięta w lubieżnej pozie — kobieta. Osnuta w ametystowo-szafirowy, usiany czarnymi perłami i opalami muślin — pyszniła się bajecznie harmonijnymi kształtami dojrzałego ciała. Różowe promienie pochodni malowały jej ciemną oliwkową karnację pastelowymi cieniami i tylko oczy szmaragdowe, lodowe — jarzyły się niesamowitymi ogniami.

Murzyni lekko postawili lektykę u stóp tronu. Teraz weszło dwudziestu zakutych w srebrne oksydowane zbroice heroldów i ze złotych fanfar buchnął gromowy hymn.

Bafome wężowymi ruchami wstępowała na stopnie tronu. Po sali powiało ciszą — jedynie podziemny nurt ciężkich tonów drgał w głębiach.

Mieniące się liliowymi płomykami blaski elektrycznych świec muskały stłumionymi wstęgami platynowe boazerie. I rubinowy kryształowy strop zlewał potokami rozprószonej poświaty komnatę.

— Bądź pozdrowiony synu Szatana — jej niski melodyjny głos odbił się potężnym echem od stropów.

— Przywołałam cię w podziemia mego państwa, aby ci oświadczyć, że celem i zadaniem twego życia winno być — zło. Ponad splecioną złoto-rudawymi puklami głową Bafome — rozkwitło trzynaście fosforyzujących purpurowych kling światła.

— Przywołałam cię więc, aby obdarzyć cię potężnymi mocami zła, w imię jego bowiem powinieneś poprowadzić swe życie. Przeto tarzaj się w złocie, zatapiaj w odmętach zbrodni ludzkie dusze, zgnębij tak w sobie jak i bliźnich wszelakie porywy serca.

— A gdy dopełni się miara twych uczynków — przybędziesz napowrót tutaj i w nagrodę — uzyskasz mnie.

W jej głębokich lodowych źrenicach zapalały się rubinowe błyski, niby buchające płomienie wulkanów nad toniami bezdennych południowych oceanów.

Stała teraz cała w ogniach, przesycających jej ciało złoto-brązowe, palącym żarem — sama gorejąca — uosobienie żaru krwi.

Helsztyn chłonął oczyma jej lubieżną postać, napawał się każdą linią wspaniałego ciała — drążące pragnienie rozdzierało zwoje mózgu.

— Uczynię wszystko, pani, co rozkazałaś — stanę się twym najwierniejszym z podwładnych, niewolnikiem, byle zyskać twą łaskę, Bafome!

Znów zadudniło granie gongów — potem salę omotała ciemń i zaledwie otrząsnął się z niesamowitej sceny — ujrzał tylko u stóp swoich platynowy z wprawionym weń opalem pierścień.

„Działaj w Imię Zła!" — kłuły oczy maleńkie grawirowane literki.

— — — — — — — — —

I któregoś dnia na arenie światowej finansjery pojawił się nowy władca złota. W jaki sposób zyskał olbrzymi majątek, skąd pochodziła jego fortuna — pozostało dla niewtajemniczonych zagadką. Faktem tylko było, że cała działalność społeczna wielkiego nababa szła w dziwnie destrukcyjnym kierunku. Rozpętywała w duszach młodzieży szał zmysłów, napełniał ludzkie serca jadem nienawiści, popierał występek i zbrodnię.

Aż pewnego dnia znaleziono Romana Helsztyna leżącego z przestrzeloną skronią na futrzanych dywanach swego przebogatego gabinetu.

U stóp jego leżał zwój pergaminu:
„W podzięce za działanie na polu zła!
Bafome".

I zagadki śmierci nie rozwiązał nikt.

CZŁOWIEK W PERSPEKTYWIE OWADÓW

Jak wyglądałby człowiek, gdyby posiadał siły owadów, ich własności i zdolności oczywiście proporcjonalnie do swego wzrostu. Temat ten interesował nieraz przyrodników i kusił ich do zabawienia się w ciekawe eksperymenty. Do pudełka z zapałek, zaopatrzonych w koła zaprzęgali uczeni mrówki, chrząszcze i gąsienice, i... o dziwo! Trudno wprost w to uwierzyć, co za siłę posiada takie małe stworzenie. Gdyby człowiek rozporządzał przy swoim wzroście podobnymi siłami!... wtedy bylibyśmy atletami, dokazującymi rzeczy, przy których zbladłyby czyny bajecznych cyklopów.

Jakimi wspaniałymi tragarzami dysponuje np. świat owadów. Oto idzie drogą niepozorny chrabąszcz, wlecze on za sobą patyczek ważący 20 razy więcej od niego. Gdyby ludzie dysponowali podobnymi siłami, to mogłaby np. młoda dziewczyna wziąć ze sobą cały fortepian idąc na lekcję muzyki.

Inny rodzaj chrząszczy jest w stanie podźwignąć przedmiot 1785 razy cięższy od siebie. Czterech dorosłych ludzi rozporządzając podobnymi siłami mogłoby podnieść bez trudu lokomotywę pociągu pospiesznego. Jeszcze silniejszą jest mrówka. Gdyby była wielkości człowieka, mogłaby się produkować w cyrku podnoszeniem i ciągnięciem dwóch lokomotyw, przy pomocy zębów.

Zajmijmy się teraz owadami odpowiadającymi zwierzętom pociągowym. Koń ważący np. 1500 funtów może przeciętnie ciągnąć wóz wagi 2,5 ton. Ładunek więc może być 3 i 1/2 raza większy od jego własnego ciężaru. Ale już chrabąszcz majowy przekracza znacznie ten stosunek, gdyż może on uciągnąć ciężar 15 razy większy od siebie. Najsilniejszym zwierzęciem pociągowym jest jednak szczypawka, która potrafi wlec za sobą ciężary 1000 razy większe od siebie.

Gdyby owady zajmowały się sportem...

Przejdźmy z kolei do owadów skoczków. Pewien gatunek tak zwany „serowiec" liczy mniej niż 1/4 cala długości, a potrafi wyskoczyć z naczynia głębokiego na 6 cali. Gdyby człowiek posiadał taką własność stosownie do swego wzrostu, mógłby wyskoczyć z 30-metrowej studni. A pchła! Jak wysoko skacze pchła? 800 razy wyżej niż wynosi jej wzrost. W ludzkich stosunkach wyniosłoby to 3 razy tyle co Wieża Mariacka. W skoku w dal konik polny zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Potrafi on skoczyć na odległość wynoszącą 200 razy tyle, ile wynosi jego długość. Jakaż by to była wygoda, gdyby ludzie w trzech skokach zrobili kilometr! Jak szybko bylibyśmy wtedy na żądanym miejscu bez roweru czy motocykla? Jeszcze idealniej byłoby, gdybyśmy mogli współzawodniczyć z chrabąszczem biegaczem przebywającym w sekundzie 2 1/2 cala. Mielibyśmy wtedy szybkość 30 km/sek. Najszybsze pociągi miałyby wobec takiej szybkości, tempo ślimaka. Na zakończenie wystąpi przed nami chrabąszcz goliat. Stanowi on prawdziwą atrakcję. Nie jest on owadem trującym ani niebezpiecznym, posiada jednak między barkami a szyją miejsce działające jak śruba. Zwykły klucz do drzwi, gdy nim lekko naciśniemy to miejsce jest schwytany z taką siłą, że gnie się metal. Palec przyłożony w to miejsce byłby natychmiast zgnieciony.

Po co owadom tak wielkie siły? Potrzebne im są w walce z większymi od nich zwierzętami, przede wszystkim jednak do budowy ich mieszkań. Są pomiędzy owadami inżynierzy, którzy pozostawiają daleko w tyle, patrząc z punktu widzenia owadów, dzieła rąk ludzkich. Np.: termity. W stosunku do kopca termitów musiałby człowiek wznieść budowle wysokości szczytu Materhorn, to znaczy wysokie na 4500 metrów, by odpowiadały 12 metrowej wieży termitów, jakie często spotykamy w Afryce. 11.750 ton ziemi nagromadziły termity ziarnko po ziarnie i to jako pierwszorzędni budowniczowie. Każde ziarnko piasku idące na budowlę zostało wpierw starannie oczyszczone i wypoliturowane i pokryte klejowatą masą. Jak gigantycznymi mogłyby być nasze budowle i tunele gdy pomyśli się, że mała mrówka z południowej Ameryki kopie w ziemi korytarze długie na 5 km.

Jeszcze ciekawiej będzie się ta historia przedstawiała gdy wyposażymy ludzi talentami i przymiotami owadów, o których istnieniu niejeden człowiek nie ma pojęcia. Idąc za przykładem owadów osiągnąłby człowiek szczyt wystarczalności i największego bezpieczeństwa. Mógłby znieść bez szkody dla zdrowia każdy klimat na kuli ziemskiej, mógłby spożywać wszystko, co daje świat organiczny jak i nieorganiczny. Moglibyśmy się delektować zjadając nasze suknie jak mól lub meble z drzewa jak kornik, metalami jak chrząszcz metalowy itp. Trucizny, które dziś spowodowałyby naszą niechybną śmierć, nie przedstawiałyby dla nas żadnego niebezpieczeństwa. Podobnie jak wiele owadów moglibyśmy się nawet żywić trującymi roślinami. Mucha octowa żywi się octem, chrząszcz arszenikowy farbą zawierającą jako jeden ze składników arszenik. Pewne wszy gryzą z przyjemnością motyle zatrute cyankali.

A jakież ciekawe perspektywy otwarłyby się przed człowiekiem, gdyby posiadał oczy takie jak pszczoła lub motyl. Mógłby widzieć wtedy rzeczy niedostępne dla ludzkiego oka, jak promienie ultrafioletowe oraz potrafiłby w najciemniejszej nocy odróżnić od siebie farby. Wprost na czary zakrawałoby, gdybyśmy mogli odczuwać zapachy na odległość całych kilometrów, tak jak pszczoła. Możnaby było wtedy powiedzieć do przyjaciółki umawiając się z nią na randkę: „srebrna topola w parku, perfumy „piżmo". Nie byłoby wtedy żadnej nieudanej randki, wystarczyłoby wystawić głowę przez okno, pociągnąć nosem we wskazanym kierunku i jużbyśmy wiedzieli czy najdroższa przyszła już na randkę czy jeszcze nie. Ileż to muszą sobie nałamać głowy żołnierze w czasie wojny za okryciami ochronnymi! O ile lepiej są owady przystosowane do swego otoczenia. Zaiste można by zamienić się z pluskwami brazylijskimi, z meksykańskimi chrząszczami „kózkami", albo z gąsienicą miernikowca. Prawie niewidoczni bylibyśmy wtedy dla nieprzyjaciela.

Jak w jakiejś bajce z tysiąca i jednej nocy pragnęlibyśmy posiadać własność odrastania niektórych członków, podobnie jak to ma miejsce u niektórych owadów. Obojętne czy utniemy głowę czy ogon pierścieniowatym odrosną im one na nowo. Pająk może stracić swe nogi, motyl swe skrzydła, odłamane członki odrosną z powrotem. Nam odrastają tylko pierwsze zęby, włosy i paznokcie.

Gdyby niektóre owady zechciały wymieniać nawzajem swe członki, też by nie przedstawiało to dla nich żadnych trudności. Dowiódł tego ciekawy eksperyment na ważkach wodnych. Pewien uczony uciął i wymienił ze sobą głowy jednej parze ważek samczykowi przyłożył głowę samiczki i na odwrót. Operacja ta udała się bardzo szczęśliwie, głowy nie tylko przyrosły z powrotem, ale ważka będąca samiczką po otrzymaniu głowy męskiej stała się samczykiem tak samo samczyk stał się samiczką. Przez zmianę głów zmieniła się i płeć tych owadów.

PIĘKNO ZABYTKÓW Generalnego Gubernatorstwa



W Odrzykoniu, między Krosnem a Strzyżowem, znajdują się ruiny średniowiecznego zamczyska Oświęcimów.

Strzeliste baszty i mury obronne, wzniesione na wysokiej skale, patrzą dumnie na rozsiane u stóp swych wiejskie osiedla.

Majestatyczną ciszę sterczących ku niebu ruin, mąci w niedzielę i święta wesoły śmiech zwiedzających. Głównie ludność okoliczna odwiedza licznie ruiny, by spędzić w spokoju dzień wolny od pracy i pogrążyć się w romantycznym nastroju, który bezsprzecznie wywołują w każdym wycieczkowiczu, skąpane w czerwieni zachodu baszty i ruiny pełnego tajemnic zamczyska. Zwłaszcza po zachodzie słońca ruiny wyglądają groźniej, kiedy zamiast głosów ludzkich rozbrzmiewają krzyki puszczyków.

Fot. J. Krumholz Strzyżów n/W.

M. ŚNIGÓRSKI

ZGON ARTYSTY

Bez wątpienia Zenobiusz Kępka był poetą, a przeto człowiekiem, który w oczach ogółu uchodzi za wielkiego nieszczęśliwca z racji nadmiernej wrażliwości nerwów i spodni — dołem z lekka obsiepanych, a górą mocnym, szklistym blaskiem odbijających światło wszelakie. — Był poetą naprawdę. Nie tylko dlatego, że nosił piękną, do góry, z nad pozornie mądrego bo wysokiego czoła rozwianą fryzurę i miewał często oczy zatopione w gwiazdach, o ile była pogodna noc, — to był tylko zewnętrzny drobiazg, podobnie jak te spodnie, lub w bezbarwnym tonie utrzymana kokarda w miejsce krawatki, — ale daleko ważniejsze powody predestynowały 30-letniego Zenobiusza do miana dziecięcia muz. — Bo Kępka czuł w sobie iskrę Bożą — i to było najważniejsze. Że owoców swoich natchnień nie spisywał i nie ogłaszał drukiem do chwili gdy o nim piszemy, to chyba tylko przez wrodzoną skromność. Na razie wystarczał mu świat, który sam sobie stworzył i w którym rządził, zatrudniając go różnymi typami w miarę nastrojów. I tak np.: bandycie, który nastawał na życie bogacza, kazał zakochać się w ostatniej chwili, w pięknej córce niedoszłej ofiary. Potem długo znęcał się nad nim torturą beznadziejnej miłości, i gdy doprowadził go prawie do obłędu, zardzewiałym kozikiem z litości dla nieszczęśliwca i braku innych morderczych narzędzi, rozpruł mu brzuch. — Lub też dziewicę niewinną o jasnym spojrzeniu rzucił w zachłanne ramiona rozpustnika, który na dobitkę był skąpcem i grał na fujarce... I cały szereg smutnych i strasznych tematów plątało się po głowie nieżądnego sławy a jednak naprawdę poety Zenobiusza Kępki.

Byłby więc talent jego pozostał nieodkryty, gdyby pewnego dnia nie zabłąkał się do knajpy. Ale nawet w tym lokalu zachował się godnie jak nie przystało na sławnego w przyszłości człowieka. Był cichy i nieśmiały, gdy zamawiał alkohol, jakby wstydził się ludzi a siebie samego przede wszystkim. Potem, gdy wychylał pierwszy kieliszek, wyrzucał sobie — jak tak można wolę swą pętać wstrętną wódą. Ale z każdym kielichem, zmory zgryzot zdychały po kolei, aż po którymś tam z rzędu, Zenobiusz stwierdził, że świat jest piękny a ludzie tacy dobrzy i mili, że on Kępka, człowiek o niepoślednim talencie, musi się objawić i to koniecznie. To go pchnęło do czynu. Dźwignął się i stąpając szerokimi zakosami, tulił flaszczynę do włochatej piersi i sunął do stolika sąsiadów, którzy dobry nastrój manifestowali radosnymi śpiewy. Dotarłszy szczęśliwie, grzecznymi „przepraszam" wycyganił na towarzystwie chwilkę ciszy i jednym tchem zaimprowizował: „Jestem poeta Zenobiusz Kępka, który nie napisał wiersza ani strzępka", — po czym prozą dokończył, że, gdyby mu nie miano za złe, to on chętnie spędzi resztę wieczoru w tak miłym towarzystwie, tu milcząco postawił flaszkę na stół, jakby uzupełniał argumenty, a zarazem — kończył dyskusję. — Ależ owszem — poeta, który nie pisze wierszy, a do tego jeszcze stawia. — Przyjęto go z otwartymi rękami. A w Zenka (od razu przeszli na „ty" i do końca mówili sobie tylko po imieniu), jakby diabeł radości wstąpił. Najpierw poprosił kelnera o wiązkę siana, bo kanapki nic nie wartają, a po wódce trzeba coś przegryźć; potem, gdy dnem świeciła flaszka, śpiewając z uporem: „więc przepijmy babci domek cały!" zamówił drugą flachę. — Był bohaterem. Bolek, Adaś i Karolek całowali poetę i oświadczyli, że milszego człowieka absolutnie ta ziemia nie nosiła. — I kto wie jakby to długo trwało, gdyby ich nie wyproszono z sali, bo nadszedł czas zamykania lokalu. Chwiejni a weseli wyszli więc, piastując resztki alkoholu w drżących rękach, i głośno pociągając od czasu do czasu na konto babcinej sadyby, gdy naraz Kępka oświadczył, że on, jako człowiek o artystycznych uzdolnieniach, może mieć pięć takich domków jak ta babcia, niech tylko zapłonie w nim iskra Boża. Tu jął się zwierzać towarzyszom, jaki on nieszczęśliwy, iż nie może rozpalić w sobie ognia natchnienia. A tak wzniośle mówił, przerywając gęsto czkawką, że wzruszył kompanów, a Karolka najbardziej. Chwiejąc się tedy i próbując posuwać się naprzód, próżno biedzili się nad tym jak wesprzeć poetę, który w przypływie rezygnacji osunął się na drogę i oświadczył, że obojętnym mu jest, co teraz z nim będzie. On tu zostaje by dumać nad swym losem... kończył bełkotem. Żądza ratunku ogarnęła Karolka. „Trzeba mu pomóc" — myśli i szuka po kieszeniach. Wśród ciemnej nocy krótkimi błyskami zaczynają się sypać iskry z zapalniczki. Nadchodzi policjant i widzi daremne wysiłki by skrzesać ognia. Pijaków wyczuwa z daleka. Woła więc groźnie „co się tu robi". Bez skutku. Podchodzi bliżej i wtedy Adaś oświadcza: „ratunek dla poety rzeczą pierwszą — panie władza"... pozostali przytakują. W tym momencie nikłym płomyczkiem jarzy się knot zapalniczki. — „Płoń iskro Boża" — szepce ze wzruszeniem Karolek i zbliża ogienek do blaskoczułych spodni Zenobiusza. Niestety eksperyment nie udał się, a to dzięki zdecydowanie nieprzychylnej postawie „władzy", która w bezceremonialny sposób przerwała obrzęd i zmusiła całą paczkę do udania się na wypoczynek do komisariatu. — Ten do wypadek był dla Zenobiusza brzemiennym w skutki. Nie dlatego, że musiał zapłacić karę za zakłócenie spokoju publicznego, tylko, że z tym dniem postanowił się wziąć do tzw. pracy literackiej i to na poważnie. Z głową ciężką od pomysłów i niewywietrzałego trunku zasiadł i jął pisać. Na początek obrał sobie egzotyczny temat o wybitnie tragicznym podłożu i rąbnął rondowym piórem tytuł „Chińscy bandyci". Potem zaczął pisać: niby od niechcenia rzucił szkicem opis krajobrazu chińskiego (Rzeka Żółta — less — żółte masy), następnie wyszukał pewne miasto chińskie o europejskim wyglądzie i w nim umieścił szajkę bandytów po jednej stronie, a skromnego kasjera banku po drugiej. Dalej poszło jak z płatka. Rozbójnicy napadli na bank, ograbili kasę i porwali kasjera, jako że był niewygodnym aczkolwiek bardzo przestraszonym świadkiem. W tym miejscu zaczyna się tragedia. Porwali kasjera, ale nie wiedzieli co z nim zrobić. Zabić nie mogli, bo należeli do sekty, która zabraniała swoim członkom kalać swe ręce krwią ludzką. Puścić go? Też nie! Po długich namysłach zadecydował herszt Kon-si-tea, by obcięto kasjerowi prawą rękę i język, aby nie mógł ich wydać. Szczerze wzruszało się serce Zenobiusza, gdy musiał przeprowadzić te smutne operacje na wybranej ofierze i gorzkie łzy ciekły po twarzy poety godnie opłakującego klęskę swego bohatera. Niemniej jednak w ostatnim rozdziale zwyciężyła sprawiedliwość i nędzny Kan-si-tea i jego ludzie wpadli w ręce policji. A stało się to dzięki kasjerowi, który był brzuchomówcą!

Doprowadziwszy powieść do tego miejsca, Kępka pięknym opisem zachodu słońca na dalekim Wschodzie zakończył swe dzieło i niezwłocznie wysłał do redakcji ze skromną prośbą o: „ocenę i ewentualne wydrukowanie w tak poczytnym piśmie Sz. Panów". Na odpowiedź czekał niecierpliwie. Wreszcie nadeszła. Redaktor pisał krótko: „za słabe i za smutne. Czytelnicy mają dość zmartwień własnych. Czekamy czegoś weselszego. Z poważaniem..." „Możecie czekać", warknął Zenobiusz i „z ócz posypały się skry". — Dzień niknął, gdy Kępka, znalazłszy dłuższy kawałek drutu, wsunął go w kieszeń i z „piekłem w duszy" wyszedł...

* * *

Nazajutrz w porannym dzienniku pod rubryką „Codzienne wypadki" znalazła się krótka notatka: „W mieszkaniu państwa M. przyłapano na gorącym uczynku usiłowanego włamania niejakiego Zenobiusza Kępkę. Przy zatrzymanym, który tłumaczy się że jest to jego pierwszy występ, znaleziono kilka nieudolnie wykonanych z drutu wytrychów"...

ŁAJDACTWO

Rys. i tekst: Pawl.



Knotek niby dla igraszki,
U sąsiada przed podwórkiem
Karmił różnorakie ptaszki,
Które zlatywały „sznurkiem".

Otoczony zewsząd ptactwem,
Knotek hojnie sypał ziarnem;
Że nie było to łajdactwem,
Nikt nie rzucił słowem marnym.

Nawet przez myśl nam nie przeszło,
Że tam Knotek po kryjomu,
Karmił też sąsiada kury,
Które za nim szły do domu...

Zaś u siebie na podwórku
To już tak, jakby w potrzasku,
Łapał Knotek cudze kury
Wśród kurzego gdaku — wrzasku...

ROZMAITOŚCI

DIABOLICZNY MĘŻCZYZNA

Jest zazwyczaj starszym już, siwawym nieco, po 60-tce panem, zawsze nienagannie ubranym, odznaczającym się nieskazitelnymi manierami oraz dziewiczą bielą, przeważnie twardego kołnierzyka. Rysy jego twarzy są również nieprzeciętne — ostry haczykowaty nos, niby faustowskiego Mefista, zacięte wąskie przeważnie spieczone żarem namiętności usta, policzki świetnie, gładko wygolone.

Z zawodu bywa zwykle radcą lub czymś podobnym, ale prócz tego para się zawzięcie sztuką, lecz nie dla samej idei, ale aby 16-stolatkom mętnymi tony skrzypiec zawrócić główkę.

Toteż kiedy gra — bije od niego jakiś piekielny, straszliwy żar zmysłów — oczy diamentowo czarne gorzeją w białkach niby płomienie wulkanów, ciskając gromy uczuć. Bo musicie państwo przyjąć do wiadomości, że mężczyzna diaboliczny mimo późnego wieku — posiada niezgłębione, szerokie jak Sahara i gorące jak owa pustynia serce. Nic więc dziwnego, że płomienie, które z takiego kondensatora mocy uczuciowych buchają — odurzają zupełnie, do nieprzytomności, młode dziewoje. Gdy dodamy jeszcze do tego nieco wytarty ale zawsze żarzący się blask źrenic — całość będzie nieszczęśnie demoniczna.

Przykrą może tylko okolicznością jest, że ów dżentelmen cierpi zazwyczaj na tabes lub żołądek, przy czym jasnym będzie, iż schorzenia tego ostatniego, nie działają na kobiety zbyt magnetyzująco. Ale mój Boże! nie martwcie się i na to znajdują się amatorki — mężczyzna diaboliczny ma bowiem jedną przewagę np. nad studentem uniwersytetu lub malarzem: że posiada mianowicie grubo wypchany banknotami portfel. Lecz to nie wszystko, albowiem posiada on także zapasy czczych frazesów, które potrafi dość umiejętnie dostosowywać do każdej okazji. Również podsuwając go pod skalpel wiedzy okultywnej — rozporządza on pewnego rodzaju fluidami suggestywnymi, działającymi na serduszka niewiast błyskawicznie i paraliżująco.

I dowiedzionym zostało, że gdy nieszczęsna a może najszczęśliwsza, która dostanie się w hypnotyczne koło praktyk takiego maga „artis amandi" — gotowa jest popełnić wszelkie jego telepatycznie nadawane pragnienia.

Ale nie martwcie się młodzi panowie — mężczyzn diabolicznych chodzi po świecie bardzo mało, podobnie jak istotnie zdolnych hypnotyzerów znajdziemy nieliczną garstkę, a poza tym najmilszą dla was niech będzie wieść, że na takiego bon-vivanta i czarownika serc niewieścich — przychodzi, nagle zazwyczaj, paraliż i zwala go bezprzytomnie na kilka lat w fotel. Więc też wielkich szkód w sercach prawdziwych kobiet — nigdy nie poczyni.

Jerzy Eglicz

30 MAŁŻEŃSTW WIEŚNIAKA FIŃSKIEGO

W miejscowości Kajani we Finlandii zmarł w tych dniach zamożny wieśniak Poavo Muki. W ciągu swego długiego życia poślubił on 30 kobiet ustalając w ten sposób rekord trudny do pobicia. Wyjątkowo ładny chłopiec o bardzo wesołym usposobieniu, mając już liczne przygody miłosne za sobą, poślubił w 18 roku życia kobietę o 5 lat starszą od siebie. Ich szczęście małżeńskie nie trwało jednak długo, gdyż już po trzech miesiącach rozwiódł się z nią. Druga jego małżonka zmarła wkrótce po ślubie na zapalenie płuc. Przez całe swe życie naprzemian to zawierał śluby, to rozwodził się. Przy czym małżeństwa trwały tylko niekiedy dłuższy czas. Mając lat 70 sprawił sobie Muki ostatnie już i 30 z rzędu wesele. Pojął on wtedy za żonę 16-letnią, bardzo ładną, ale bardzo ubogą dziewczynę. Z tego małżeństwa miał jeszcze dwoje dzieci. W jego pogrzebie wzięły udział 24 żony. Gdy zapytano je, jakie było ich pożycie ze zmarłym Poavo Muką, wszystkie odpowiedziały zgodnie, że ich były małżonek był wprawdzie trochę lekkomyślny ale miał bardzo wesołe, miłe i wielkoduszne usposobienie.

ZE SCEN WARSZAWY

KABARET UL: „16 PRZEBOJÓW"

Nowa, „ogórkowa" jeszcze rewia „Ula" ma być samą śmietanką (jak zapowiada w prologu J. Śliwiński) zebraną z najlepszych skeczów, piosenek i recytacji. Fizjonomię programowi nadają dobre, lekkie piosenki i recytacje w wykonaniu pierwszorzędnych sił artystycznych.

W dwóch skeczach „Ja chcę mieć spokój" Piotrowskiego i „Brakujące ogniwo" T. Chrzanowskiego, Maria Chmurkowska wspaniale zagrała role żon zabarwiając je wykwintnym komizmem rasowej aktorki komediowej. W monologu Rapackiej „Wadziątka" z wdziękiem i ze smakiem opowiada Chmurkowska o wadach (z punktu widzenia kobiecego) mężczyzn. Dobrym odbiciem ludzkiego gadulstwa odznacza się skecz Boczkowskiego „Pasażer" ze Skoniecznym (co za pyszny typ pasażera-gaduły!, i Zelskim jako kasjerem kolejowym. Wesoły obrazek śpiewny „Po ciemku" znalazł bardzo dobrych wykonawców w osobach



Ulubienica Warszawy — wspaniały „komik w spodnicy" — Maria Chmurkowska.



Popularny piosenkarz Warszawy, Karol Hanusz.
Fot. Śmigacz

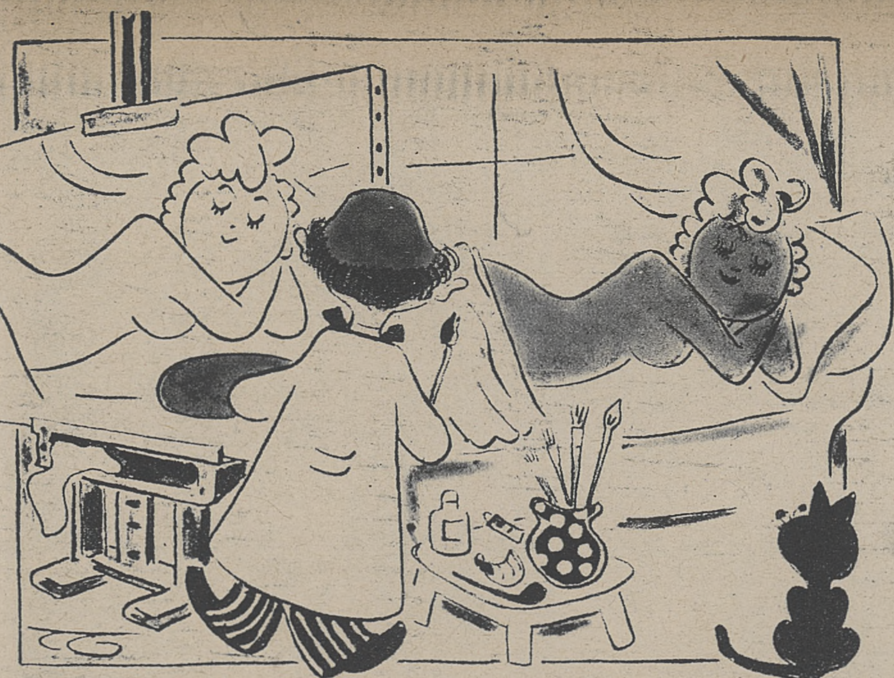
utalentowanej Z. Wilczyńskiej i przemiłego Zbyszka Rakowieckiego, który śpiewa także lekką piosenkę „Kobieta — la femme". Młoda, kulturalna aktorka dramatyczna, Maria Kaniewska, recytuje „Drobne ogłoszenia" Odrowąża i bierze udział w scence półfinałowej „Dowcipki i dowcipuszki". Skecz Boczkowskiego „Supełek" (wyk.: Kaniewska, Wilczyńska, Skonieczny, Chmielewski i Zelski) to niewątpliwie najlepszy skecz rewii — jest nieszablonowy i żywy.

Jak się dowiadujemy w najnowszej rewii „Ula" Zbyszek Rakowiecki jest wyznawcą zasad... Platona. Przychodzi do niego wielbicielka z prośbą o fotkę i autograf. Ona (Winiarska) jest także zachwycona Platonem... wystarcza jej miłość platoniczna, ale naraz „korki" się przepalają, światło gaśnie, za oknem jest piękna noc... oboje są młodzi i... tylko sami w pokoju, zapominają o Platonie złączeni ze sobą pocałunkiem...

Całości miłego i na wysokim poziomie utrzymanego programu dopełniają dwa numery taneczne Danuty Kwapiszewskiej: „Polka" i „Studium taneczne".

Rewię reżyserowała St. Perzanowska, kier. artyst. był J. Boczkowski, zaś przy fortepianie zasiadał W. Walentynowicz.

Z. Bakuła



OGIEŃ POETYCZNEGO ZAPAŁU I... ATRAMENT

Noc taka ciemna, cicha... Na jego stole lampa.
Wątpliwą wyobraźnię podnieca biały szampan.

Wychylił jedną lampkę i długim piórem machnął,
Że tak na duszy smutno, choć wokół róże pachną.

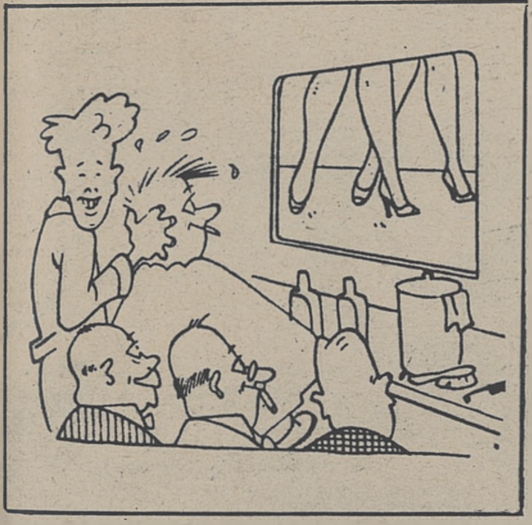
Dwunasta. Skończył chorał i się do wierszy zaśmiał
I mruczał, że się patrzy tak poetycznie na świat.

Wychylił drugą lampkę i trzecią sobie nalał
I w tem kałamarz trącił. Atrament papier zalał.

Atrament zalał papier, atrament zalał chorał —
Pozostał przypadkowo dla wierszokletów morał:

Kiedy wieszcz familijny zaczyna się zapalać —
Ogień poezji można i atramentem zalać...

Eugeniusz Kol.



ŚWIAT SIĘ

NOWOCZESNE MAŁŻEŃSTWO
Limeryk

Dziubdziulscy, mój przyjacielu,
Świecą małżeństwom wielu,
Bo jadąc w poślubną podróż
Wysłali wprzód syna, co odrósł,
By najął im pokój w hotelu...

NA MOJEGO PRZYJACIELA

Ja i przyjaciel. Ciemna noc.
Dwóch jakichś szło w oddali.
Raz darli się na cały głos,
To znowu coś szeptali.
Przyjaciel, co był „wielki zuch",
Rzekł, dzwoniąc wciąż zębami:
— „Wracajmy, popatrz! ich jest dwóch,
A my jesteśmy sami..."

•

— Proszę pani, tutaj nie wolno przechadzać się w kostiumie kąpielowym!
— Pan wybaczy, przecież nie mogę się bez niego pokazać!

•

Odkąd przenieśliśmy się do suteren, nasz zakład fryzjerski prosperuje znakomicie. (Das Illustrierte Blatt)

ŚMIEJE

Nauczyciel oddaje uczniom przeglądnięte zadania:
— Józiu, twoje zadanie pod tytułem „Nasz ogród", jest dosłownie takie, jak twojego brata.
— Bo to jest ten sam ogród, proszę pana profesora!

•

W czasie zwiedzania zakładu dla obłąkanych:
— Dlaczego ten biedak w pokoju Nr 47 zwariował?
Lekarz zakładu: — Zakochał się w dziewczynie, która go nie chciała.
— Ach!
— A ten w pokoju Nr 48?
— To jest ten, który się z tą dziewczyną ożenił.

•

Teraz zrobimy przerwę w malowaniu, by pani mogła odpocząć! (Koralle)

•

Kazia jest u doktora.
— Ach, panie doktorze, bardzo mnie swędzi twarz, co mam robić?
— Golić się.
— Ja?
— Nie, on.

•

Stary pan Królik ożenił się po raz drugi.
Druga żona oczarowała go swymi ślicznymi zębami, jej zaś spodobały się bujne włosy pana Królika mimo jego sędziwego wieku. Po uczcie weselnej zwraca się trwożliwie młoda żona:
— Mój najdroższy, muszę ci wyznać szczerze, że mam sztuczne zęby.
On uspakajająco: — Ależ moja kochana, te bujne włosy, które ci się tak podobają, też nie są moje.

•

— Babciu, czy masz w okularach szkła powiększające?
— Tak, moje dziecko.
— To proszę cię zdejm okulary, gdy będziesz mi krajała ciastko.

•

— Jest pan we wszystkim taki powolny?
— We wszystkim napewno nie, proszę pani, np. bardzo prędko się męczę.

•

— Przeszłego karnawału miał się pan żenić z panną Szulikówną. Dlaczego się to zerwało? Czy miała za mało posagu?
— Nie... za dużo rozsądku.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 15 (46)
DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 15 (46).
H. Weenink (»Sw. Ch. R. « 1919).
Czarne: Kc4, Ha8, Wb3 e6, Gc6, piony: a6, d7, e4, f5, g3. (10).
Białe: Kg2, Ha5, Wc8 f4, Ga1 g8, piony: c2, d2. (8).
3-chodówka. 8 ½ 10 × 18.
Mat w 3 posunięciach.
Końcówka (studium) Nr. 15 (46).
K. A. L. Kubbel (»Krassn. Gazeta« 1924).
Czarne: Kh5, Hd4, piony: b4, c7, g4. (5).
Białe: Kf1, Ge2, Sd8 e7, piony: b3, c6, f2, g2, g3. (9).
Końcówka (½) 9 ½ 5 × 14.
Białe zaczynają i wygrywają.
Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 14 (45). (Pauly): 1. f3 G—e3 2. d4† c—d3†† 3. K×b4. —.
Rozwiązanie końcówki Nr. 14 (45) (Rinck): 1. K×e1 (A) G×h5 (B, C) 2. W×h4 (D) G×e8 (E) 3. W×e4 G×c5 (×c1) (F) 4. S×d3† i wygrywa.
(A) 1. W×e4? G×g5 (lub ×c5) 2. S×f3 lub ×d3† (K×e1 G×b3) K×f6 lub ×d6.
B) 1... G×b3 2×W×c3 (2. W×e4? G×c5 lub ×g5) G×d4 lub ×f4 3. S×c6 lub ×g6† i wygr.
(D) 2. W×e4? G×g5! 3. S×f3† K×f6!
(E) 2... G×f7 3. W×h7 K×f6 4. S—G K×g6 5. W×h3 i wygr.
(F) 3... G×g5 (×g1) 4. S×f3† i wygr.

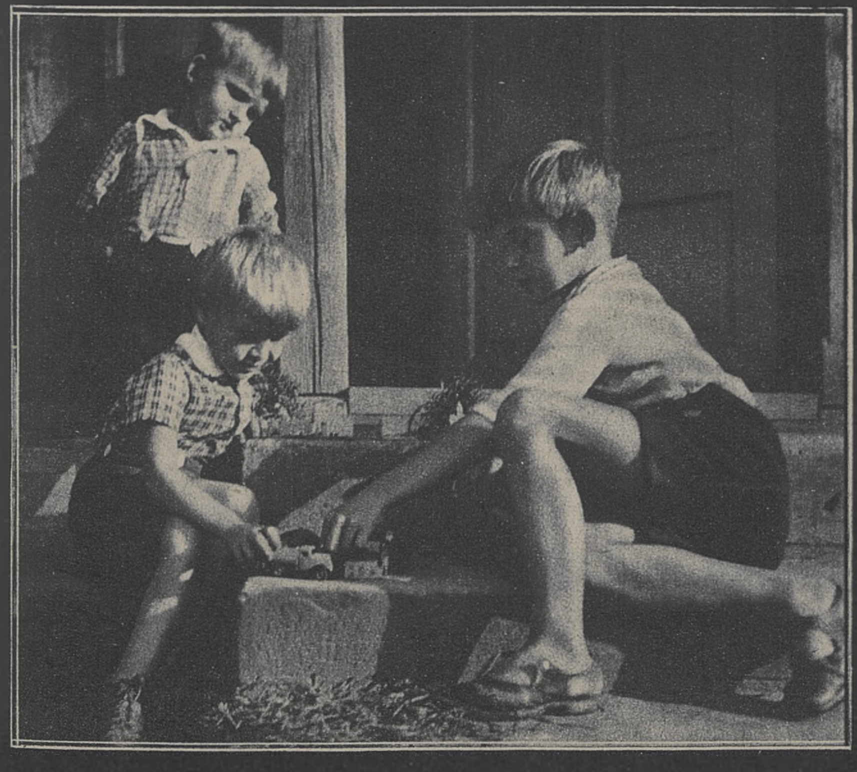
PARTIA Nr. 85 (88).
Białe: A. Rhode — Czarne: E. Post
grana korespondencyjnie w r. 1902.
Kontrgambit Falkbeera.

1.	e4	e5	12.	H—f2(9)	S—f3†$_2$
2.	f4	d5	13.	g×f3(10)	Wa—e8†
3.	S—f3	d×e4	14.	K—f1	G—h3†
4.	S×e5	G—d6	15.	K—g1	H—g6(11)
5.	S—c3(1)	S—f6	16.	H—g3	H—b6
6.	G—c4(2)	0—0$_2$	17.	d4	H×d4†
7.	H—e2(3)	Sb—d7(4)	18.	G—e3	W×e3$_2$
8.	S×e4?(5)	G×e5	19.	H—f2(12)	Wf—e8
9.	f×e5	S×e5	20.	Wa—f1	W—e1
10.	G—b3(6)	G—g4(7)	21.	G—c4	W×f1†
11.	S×f6(6)	H×f6	22.	G×f1	W—e1

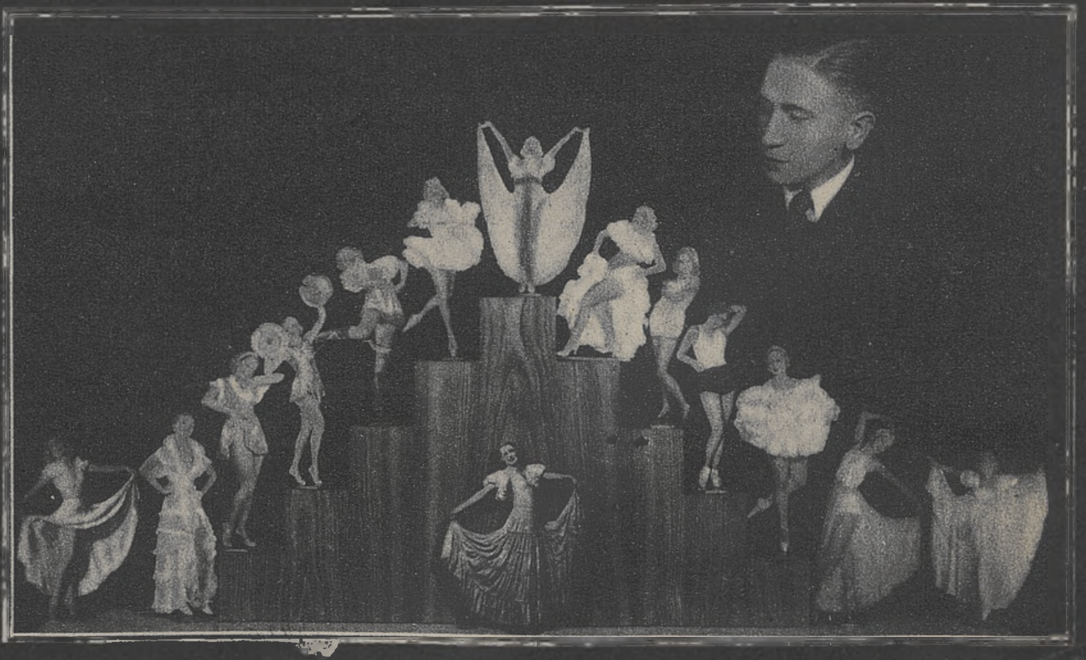
Białe poddały się.

UWAGI:
(1) Lepiej grać odrazu: 5. d4 e×d3 6. G×d3.
(2) W razie 6. H—e2 nastąpiłoby: 0—0 7. S×e4 W—e8 z lepszą grą dla czarnych.
(3) Błędną byłaby naturalnie natychmiastowa roszada z powodu 7... G×e5 8. f×e5 H—d4† 9. K—h1 S—g4. Najkorzystniejszym byłoby: 7. d4 jednak czarne i wówczas po e×d3 poczym H—e7 miałyby przewagę pozycyjną.
(4) Gdyby teraz czarne grały: 7... G×e5 8. f×e5 S—g4 wówczas przegrałyby szybko partię: 9. H×e4$_2$ S×e5 10. H×e5 W—e8 11. G×f7 K×f7 12. 0—0$_2$.
(5) Po tym ruchu białe popadają w pozycję przegraną. Białe powinny były grać conajmniej 8. S×d7.
(6) Jeśli białe nie chciały wymienić na f6— co wyglądałoby zupełnie niezachęcająco po 10... H×f6 11. d3 W—e8 — nie mają innego posunięcia, jak w partii.
(7) Czarne wymuszają wymianę na f6 i dowcipne zakończenie partii.
(8) Lub: 11. H—e3 S×e4 12. H×e4 H—f6 13. W—f1 H—h4 14. g3 H×h2.
(9) Stosunkowo najlepsze, jednak teraz następuje katastrofa.
(10) Białe muszą przyjąć ofiarę skoczka, gdyż po K—f1 nastąpiłoby W—e8$_2$ i po 13. K—d1 S×h2 14. K—e1 W—e8. Teraz czarne zapowiadają mata w 11 posunięciach.
(11) Nie 15... W—e1 16. H×e1 H×f3 17. G—d5$_2$.
(12) I. 19. G×f7† W×f7 20. H—f2 W×f3 II. 19. H×h3 W—e2 20. K—f1 H—f2 mat

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



MŁODZI INŻYNIEROWIE
Zdjęcie o miłym temacie. Dzięki dobremu rozmieszczeniu postaci na obranym tle, przedstawia ono spokojną i harmonijnie wypełniającą przestrzeń grupkę. Wykonała p. Wanda Jeżówna z Myślenic. Ap. Zeis-Ikon, przysł. 6,5, czas 1/100 sek.



UWAGA! FOTOAMATORZY!

FILMOWE ROJENIA
Temat zdjęcia dobry i oryginalny, jednak ono samo słabe pod względem technicznego wykonania. Widzimy na nim fotografie artystek baletu i opery, naklejone na tekturkę, a następnie wycięte. Twórca pomysłu z dumą patrzy na swe dzieło. Nadesłał p. Bogusław Kornblit z Warszawy.

W jaki sposób powstaje ubranie ze zboża?

Czy koszule w polu rosną? — zapytało raz dziecko matki. I otrzymało twierdzącą odpowiedź. Dzisiaj odpowiedź ta potwierdza się tym wyraźniej. Bo proszę: przyniesie rolnik do swego punktu zbiorczego zboże, kukurydzę lub rośliny pastewne, a za to (kwit premiowy A) otrzymać może płótno na koszule i na inne części garderoby dolnej, a także materiały na ubranie. Z tego widać, że dziś nie tylko koszule w polu rosną, ale i całe ubrania. Ale i buty przykrawa się dzisiaj na wsi. Bo — „warta skórka za... dostawę". Przyprowadzi bowiem rolnik do zarządu stadniny lub hodowli państwowej ogiera dajmy na to dwuletniego, to dostanie za to skórę na buty (kwit premiowy ZV). Wprawdzie nie będzie mógł kupić jej tyle, ile jej jest na jego ogierze, zawsze jednak starczy na buty dla niego, żony i dzieci. Kwit premiowy uprawnia go bowiem do zakupienia po cenach maksymalnych skóry wartości 200 zł. A odstawi swoją jałówkę czy buhaja do rzeźni (kwit premiowy V) otrzyma również kawał „skóry wołowej". Jeżeli więc kiedykolwiek jakiś sceptyk kwestionował wartość przysłów, a szczególnie przysłowie „warta skórka za wyprawę", nie będzie mógł nic złego powiedzieć na to trochę zmodyfikowane i do dzisiejszych czasów dostosowane powiedzenie „warta skórka za... dostawę". Nie należy przytem myśleć, że skórka będzie tyle wartała, ile cały konik, lecz raczej trzeba tu przypuszczać mniejwięcej to: „warto dać — by także brać".

W ten sposób może wieśniak wykopać dzisiaj garczki, wiadro, kosę, siekierę i inne wyroby z żelaza razem z ziemniakami, cukier wydobyć z kurnika (wymiana za jajka) i z ulu (wymiana za miód), mydło, proszek do prania, świece i naftę daje mu dzisiaj krowa (kwit premiowy M za dostawę mleka).

Oczywiście i inne przedmioty potrzebne w gospodarstwie domowym i w zagrodzie zdobyć on może w ten niezwykły sposób. Ano — gdy czasy niezwykłe, to i sposoby mogą być niecodzienne.

Akcja premiowania płodów rolnych, zapoczątkowana ubiegłego roku przez Urząd Gospodarki Wyżywienia i Rolnictwa, została w tym roku jeszcze rozszerzona. Przede wszystkim podwyższono stawki premiowe za płody rolne objęte kontyngentami oraz wprowadzono więcej towarów, którymi nagradzani będą odstawiający kontyngenty.

Zdjęcie nasze przedstawiające piękny i pełen nastroju moment koszenia jest niejako symbolem wszystkich potrzeb człowieka. Jeżeli więc wieśniak będzie chciał zdobyć potrzebne mu czy w gospodarstwie domowym czy zagrodzie rzeczy, których ilość ograniczyła wojna, wystarczy, gdy zasięgnie rady w swojej spółdzielni rolniczej, w punkcie zbiorczym lub gminie. Tam też przekona się, że w dzisiejszych niezwykłych czasach krowa daje naftę i mydło a ubranie naprawdę powstaje ze zboża.

